



Choroba postmodernizmu cz. I

Od dawna interesowały mnie relacje pomiędzy ekonomią a ekologią i z wielkim zapałem zapoznawałem się z produkcją naukową w tej dziedzinie.

Początkowo nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uczestniczyłem w konferencjach w Europie i w USA, na których występowali bardzo elokwentni mówcy, wypowiadający opinie o niegodziwości bogatych i głupocie tych, którzy niszczą przyrodę. Często zgadzałem się z tymi opiniami, ale dopiero z czasem zorientowałem się, że nie mają one nic wspólnego z nauką. Bogaci rzeczywiście bywają niegodziwi, ale to widzi każdy wrażliwy człowiek. Nie trzeba do tego żadnych badań naukowych. Natomiast od naukowców – ekonomistów, psychologów, czy ekologów – oczekuje się, że potrafią zastosować właściwy dla swych dyscyplin aparat pojęciowy, żeby wyjaśnić, dlaczego bogaci robią to, co robią. Ale tym moi uczeni znajomi już się nie zajmowali, uważając, że podział na dyscypliny naukowe jest reliktem dziewiętnastowiecznym i nie licuje z etosem nauki postmodernistycznej.

Przez kilka lat jeździłem na konferencje International Society for Ecological Economics (ISEE). Od połowy lat dziewięćdziesiątych przestałem, zorientowawszy się, że są to zgromadzenia ludzi przekonanych o własnej nieomyślności, którzy poprzestają na dzieleniu się opiniami poprawnymi politycznie, bez jakiegokolwiek refleksji naukowej. Dopiero później dowiedziałem się więcej o postmodernizmie i o tym, jak tej pladze uległa znaczna część środowiska akademickiego w ogóle, a nie tylko w znamy mi lepiej obszarze.

Nonsensowność wypowiedzi postmodernistycznych jest porażająca. W ekonomii ekologicznej może to wyglądać tak:

Zarówno podejście **człowiek ponad przyrodą**, jak i holistyczne podejście **człowiek zanurzony w przyrodzie** odzwierciedlają niezrozumienie natury relacji **Ja i Ty**, niezrozumienie tego, jak osoba ludzka może tkwić jednocześnie w porządku przyrodniczym i społecznym, a przy tym zachowywać swoją indywidualność i odrębność. Myśl feministyczna traktuje ową izolację (podstępne odseparowanie) jako szczególnie ograniczającą i groźny sposób postrzegania ludzkiej tożsamości ze szkodliwymi implikacjami zarówno dla relacji pomiędzy ludźmi a przyrodą, jak i dla relacji pomiędzy mężczyznami a kobietami. My, mężczyźni i kobiety, stanowią ciągłość z ucieleśnieniem i zanurzeniem w przyrodzie, zachowujemy jednak świadomość i aktywność w decydowaniu o własnym życiu. [Przekład własny artykułu Julie A. Nelson, *Feminism, ecology, and the philosophy of economics*, Ecological Economics, 20 (1997), s. 155–162].

Początkowo przysłuchiwałem się takim wypowiedziom z uwagą i w dobrej wierze. Jednak w końcu miarka się przebrała, kiedy na którejś konferencji mówca plół od rzeczy, a zebrani oklaskami potwierdzili trafność jego uwag w kontekście ratowania przyrody przed kapitalistyczną grabieżą. Zrozumiałem, że to nie

jest właściwa droga poznania naukowego. Przestrzegam swoich studentów przed kontaktami z takim środowiskiem, bo wiem, że łatwo jest się pogryźć w atmosferze zniechęcenia wobec nauki (która nie potrafi zlikwidować na świecie nędzy i niszczenia przyrody) i zdobyć poklask na skutek głoszenia populistycznych haseł. Przekonałem się ostatnio, że nie tylko ja wziąłem rozbrat z International Society for Ecological Economics, którego byłem współzałożycielem.

Rozróżnienie pomiędzy sędami apriorycznymi i poznaniem naukowym pozwala na określenie tego, co jest wartościowe w ekonomii, na której znam się lepiej niż na innych dyscyplinach. Według powszechnie przyjętej definicji Lionela Robbinsa [*An Essay on Nature and Significance of Economic Science*, Macmillan, London 1932], ekonomia traktuje o tym, jak ludzie wybierają. Tymczasem stwierdzenia postmodernistyczne są zazwyczaj sędami wartościującymi (np. o niegodziwości bogatych) albo postulatami normatywnymi (np. mądry powinien chronić przyrodę). Mogę być zaszokowany, że ludzie chcą płacić za jakiś idiotyczny towar dużą kwotę, ale – jako ekonomista – mam obowiązek przyjąć to do wiadomości i starać się wyjaśnić za pomocą dostępnych metod naukowych. Ekonomista z prawdziwego zdarzenia nie stara się ludzi nawrócić na drogę cnoty (choć jako obywatel może, a nawet powinien), tylko wyjaśnia, od czego zależy to, co da się zaobserwować.

W nauczaniu ekonomii borykam się z trudnościami spowodowanymi tym, że wielu moich studentów nie odróżnia tego, co jest poprawne politycznie, od tego, co wymaga argumentacji naukowej. Utrzymując na przykład, że bogaci powinni zapłacić więcej – być może – mają rację, ale do tego nie trzeba kończyć studiów. Ekonomista tymczasem powinien umieć zbadać, czy większe obciążenie bogatego lepiej służy dobrobytowi społecznemu, czy nie. Dopiero w przypadku odpowiedzi twierdzącej, można taki sąd uznać za naukowy, a nie aprioryczny. Wiele swoich wykładów organizuję właśnie w ten sposób, by zainteresować słuchaczy przytoczeniem jakiegoś sądu poprawnego politycznie, żeby go potem zakwestionować na gruncie nauki. Niestety na egzaminie otrzymuję często odpowiedzi, z których kilka tygodni wcześniej cała klasa się śmiała.

Studenci, z którymi bliżej współpracuję, a zwłaszcza magistranci i doktoranci, umieją odróżnić sąd aprioryczny od naukowego. Ale część z nich buntuje się przeciw standardom przyjętym w rozpowszechnianiu nauki. Nie mogą pogodzić się z tym, że dobra publikacja zostaje przez redakcję odrzucona, natomiast ukazuje się błaha, tyle że ze znanym nazwiskiem. Mnie również to boli, ale staram się przekonać, że jest podobnie jak z demokracją: trudno się nam zgodzić, że głos jakiegoś idioty lub menela waży dokładnie tyle samo, co mój, a jednak system niedemokratyczny byłby jeszcze gorszy.

TOMASZ ŻYLICZ

Uniwersytet Warszawski
Wydział Nauk Ekonomicznych